Lektura plażowa

Fahrenheit Crew

Charlaine Harris

Prawdziwe morderstwa

Tłum. Martyna Plisenko

Replika 2012

Cena: 29,90

Stron: 281

"Prawdziwe morderstwa" to najnowsza powieść Charlaine Harris, autorki, której międzynarodowy rozgłos przyniósł cykl opowieści pod wspólnym tytułem "The Southern Vampire Mysteries' (na ich podstawie powstał serial Czysta krew). Tym razem pisarka zrezygnowała całkowicie z elementów fantastycznych i podjęła próbę stworzenia klasycznego kryminału.

Aurora Teagarden, bohaterka powieści, jest bibliotekarką, a jej życie toczy się bez większych zawirowań w niewielkim, spokojnym miasteczku. Wraz z grupą znajomych należy do klubu *Prawdziwe morderstwa*, którego członkowie umawiają się na spotkania i wspólnie analizują przypadki zabójstw sprzed lat. Hobby właściwie nieszkodliwe, ale tylko do czasu, gdy okazuje się, że zaczynają ginąć ludzie, a morderca inspiruje się omawianymi na spotkaniach klubu starymi zbrodniami. Najwyraźniej morderca należy do kręgu miłośników kryminalnych zagadek. Aurora, która szybko orientuje się, że jej samej również grozi niebezpieczeństwo, rozpoczyna własne śledztwo.

Projekt zaiste ciekawy, ale teraz należy sobie odpowiedzieć na pytanie, jak się sprawa ma z jego realizacją. Z jednoznaczną oceną zawsze jest pewien problem, gdy omawiamy powieść obcojęzyczną, na której ostateczny kształt ogromny wpływ ma praca tłumacza i czujność redakcji, i właściwie trudno ocenić sprawiedliwie, kto odpowiada za niedociągnięcia tudzież jest głównym ojcem sukcesu zwanego polskim przekładem. A jak się sprawa ma z powieścią Charlaine Harris? Ano różnie się ma. Podczas lektury odnosiłam wrażenie, że rzecz jest nierówna, a pewne wątki są prowadzone na siłę i mają na celu próbę odciągnięcia uwagi czytelnika od właściwych tropów i poszlak. Oczywiście, jest to klasyczny zabieg stosowany w kryminałach, ale w Prawdziwych morderstwach jakoś to tak trochę nieporadnie wyszło. Sposób relacji zdarzeń też pozostawia nieco do życzenia. Narracja

pierwszoosobowa Aurory Teagarden ma tendencje do pewnego wyprzedzania wypadków. Zachodzi dziwne zjawisko myślenia przyczynowo-skutkowego. Amatorka zagadek wysnuwa teorię, a potem cudownym zrządzeniem losu następują zdarzenia ową teorię potwierdzające. Zaiste, niezwykła przenikliwość umysłu u tej nawet sympatycznej bibliotekarki. Generalnie jednak to wszystkie zarzuty, jakie można przedstawić autorce.

Jak wyżej wspomniano, na ogólny kształt książki duży wpływ mają również osoby tłumacza i redaktora. I są to chyba najsłabsze punkty w omawianym przypadku. W tekście możemy znaleźć kalki językowe i niezbyt zręczne zwroty. O, takie na przykład:

Potem pomyślałam, że musiałabym zamówić kwiaty na pogrzeb i zadzwoniłam do redakcji (…), żeby dowiedzieć się, kiedy się on odbędzie.

Może raczej *powinnam*?

I śliczna kalka:

Uniosłam pokrywę (skrzynki*) i ze środka śliskim strumieniem wylały się magazyny.*

Dwa razy czytałam ten fragment, aż w końcu wpadłam na to, że ze skrzynki posypała się kaskada czasopism.

Ale to właściwie czytelnikowi tak bardzo nie powinno przeszkadzać ani psuć lektury. Największe baty należą się za redakcję i prześliczne, przepuszczone po tłumaczce zdanie:

(…) *potrzebuję czegoś nowego na lunch w mieście i że to musi być coś, co będę mogła ubrać również do pracy.*

W co właściwe Aurora ma ubrać to coś nowego? I jak ubrać kieckę, żeby kiecce było do twarzy? Założyć! Z-a-ł-o-ż-y-ć do ciężkiej cholery! I póki mi życia stanie, póty będę zwalczać ten idiotyczny błąd językowy.

Podsumowując: rzecz przed publikacją powinna zażyć jeszcze jednego czytania w celu wywalenia powyższych śliczności, a wówczas otrzymalibyśmy poprawny kryminał. Szału nadal by nie było, ale na plażę jak znalazł.

Jagna Rolska